

Tune(L) czasu: Kazimierz Orłowski

Poniedziałek, 8 lutego 2016 r. godz. 12:00, źródło: Legionisci.com

Kazimierz Orłowski był kierownikiem Legii od połowy 1985 roku do stycznia 1991. Jak sam przekonuje, wówczas osoba na takim stanowisku odpowiadała za wiele kwestii w klubie. Pomagał zawodnikom, pomagał przy przeprowadzaniu transferów, ale widział również wiele szwindli. Orłowski nie ma wątpliwości, że mecz w Zabrzu w 1986 roku, decydujący o mistrzostwie Polski, został sprzedany przez piłkarzy stołecznego klubu.

Zapraszamy do lektury długiej rozmowy, jaką przeprowadziliśmy z Kazimierzem Orłowskim. Dowiedziecie się z niej m.in. o meczach z Barceloną, sprowadzeniu na Łazienkowską Leszka Piszka, specyficznych podróżach samolotem, czy przyjeździe do Warszawy zespołu Bayernu Monachium.

Jak trafił Pan do Legii i w ogóle do piłki nożnej?

Kazimierz Orłowski: Do Legii trafiłem przypadkiem. Akurat kończyłem pracę. Z zawodu jestem kierowcą i przez 10 lat jeździłem z ministrem sportu, Marianem Renke. Był taki czas, że on wyjeżdżał do Hiszpanii, ale nie mógł mnie tam zabrać, bo byłem bezpartyjny. Trzeba natomiast pamiętać, że w tamtych czasach wymagano, żeby kierowca był "pewny". Zresztą muszę powiedzieć, że Renke to był kandydat na naprawdę dobrego przywódcę. W sporcie szybko znajdował wspólny język ze wszystkimi. Renke powiedział, że pomoże mi pójść do Legii. A ja na to: a gdzie ja w Legii? Przecież ja przedtem byłem w Polsce...

Też jako kierownik?

- Można tak powiedzieć, choć oficjalnie kiedyś nie było "kierowników". Byłem opiekunem drużyny. Miałem na tym punkcie pierdolca! Matce podbierałem cytryny i robiłem piłkarzom herbatę. Zresztą ja się tam właśnie wychowałem, bo przy Konwiktorskiej grałem tam od trampkarzy. Był taki czas, że Polonia chciała już skończyć granie. Zawodnicy chcieli się rozejść, bo mieli dość grania. Pamiętam, że zatrzymałem ich przy bramie i namówiłem, żeby spróbowali jeszcze jeden sezon i może w końcu awansują do tej drugiej ligi, co było wtedy marzeniem tego klubu.

No, ale musiałem załatwić trenera. W Polsce nie ma trenerów, tak uważam. Za takich uważam dwóch - Edwarda Brzozowskiego, którego chłopaki chcieli, żebym ściągnął wtedy właśnie. Przed wojną grał w Polsce i reprezentacji Polski, później był trenerem i choć miał pewną słabość, to trenerem był doskonałym. Taktykę miał w małym palcu. Był wtedy jednak niszczonego przez Konwiktów i innych naukowców po AWF-ie. Drugim natomiast był "Pepik" [Jaroslav Vejvoda - przyp. B.] - gość, który zrobił z Legii - Wielką Legię. Proszę nie mówić, że Wielka Legia to była Legia z Ligi Mistrzów. Oni wtedy grali jedną ligę, nie dwie. Obecnie trzeba grać w dwóch ligach - w polskiej i w kwalifikacjach. Tamci [z sezonu 1995/96] musieli grać tylko kwalifikacje, bo polską ligę mieli "załatwioną", sami sobie zresztą załatwili.

Jak Vejvoda przychodził do Legii, miał też niezłych piłkarzy do dyspozycji.

- Co to był za skład - w bramce był Szymkowiak, w obronie Mahseli, Grzybowski, Woźniak, Słaboszowski, w pomocy Zientara, Piedo, Strzykowski... sami reprezentanci. W ataku grali Ciupa, Kempny, Pohl, Brychczy i Cehelik. To była najlepsza drużyna jaka kiedykolwiek była w Legii! Brakowało tylko trenera. Przyjechali kiedyś Czesi i nas ograli, a my uważaliśmy ich za bogów. Tymczasem technicznie byliśmy od nich trzy razy lepsi. Potem przyszedł "Pepik", który wszystko poustawiał. Bronił Włodek Grotyński z Otwocka, grali Niedziółka z Karczewa, Trzaskowski, Zygmunt z Chodakowa, Żmijewski z Otwocka... To nie byli na tamte czasy wielcy gracze, szczególnie na początku. On jednak zrobił z nich wielką drużynę, która rzuciła się na Górnika i innych i grała jak równy z równym. Zostawił Gadochę, poprosił Brychczego, żeby został, bo on chciał odejść. Miał podejście do zawodników. Ściągnął też Deynę, który był wielkim piłkarzem, ale dla "Pepika" nie było "świętości". Przyszedł raz i zapytał kierownika, na kogo czekają od pięciu minut. Na Deynę? No to jedziemy! Wtem podjeżdża taksówka z Deyną i Kazik chce wsiąść do autokaru, a trener mu na to: Ty sobie zagrasz jutro w drugiej drużynie. Wszyscy zdziwieni! Jak to, Deyna w drugiej drużynie? Ano tak. Tak się zresztą skończyło. To był trener z autorytetem.

Teraz prezes powie trenerowi co ma zrobić i ten wykona. Kaczmarek jak trenował Grodzisk, to chodził tyłem do boiska, a przodem do trybuny. Tak samo Piechniczek. Na Mistrzostwach Świata prowadził drużynę do meczu z Peru. Od tego spotkania Piechniczka odsunęli Boniek, Buncol i reszta. Sami zaczęli ustalać skład i zaczęli wygrywać mecze.

Zastąpił Pan w Legii na stanowisku kierownika Kosińskiego. Co się z nim stało, bo znalazłem informację, że miał zostać asystentem trenera?

- Nic z tych rzeczy. Kosiński niechlubnie odszedł z klubu, po jednym z obozów, na którym piłkarze chodzili głodni. Co ciekawe wcześniej spore ilości wędlin i puszek przywiózł na zgrupowanie ówczesny prezes, pułkownik Zenon Olszak. Olszak to był świetny menadżer, który przypomina mi obecnego prezesa. Był rzutki, na pewno mniej mówił, ale dużo robił.

Przed pracą przy Łazienkowskiej miał Pan za sobą tylko pracę w Polonii?

- Nie, zanim trafiłem do Legii, pracowałem też w Hutniku. Tam był wtedy Jerzy Engel i razem zaczęliśmy "swoje rządy". Jednak działaczom partyjnym nie podobało się to co my wyprawiamy, a szczególnie Sobieskiemu, byłemu sędziemu piłkarskiemu, który był niemożliwym hochsztaplerem. Zresztą tak to już jest z sędziami, ja mam do nich olbrzymią awersję. Wiedziałem i wiem co oni wyprawiali i wyprawiają. Jak z tym, który został zatrzymany na obstawianiu wyników spotkań u bukmachera [chodzi o Huberta Siejewicza - przyp. B.]. To ktoś nie wiedział, że on "wyciąga" piłkę zza linii końcowej jak w meczu Wisła - Legia w wiadomym celu? I co go spotkało? Przeprosił... Od razu powinien pójść na aut. Ustawiał mecze tak jak ustawiał wyniki, co tu oszukiwać. Ale wracając do głównej myśli, awansowaliśmy z Hutnikiem, wraz z Engelem do I ligi. I co? Działacze wyrzucili nas! Sobieski kopnął nas w tyłek. Jurek Engel pojechał do Bydgoszczy, bo z tamtych rejonów pochodził, a ja wziąłem się za normalną robotę. Co miałem się podlizywać, jak oni mnie nie chcieli? Lubię chodzić tylko tam, gdzie mnie chcą.

Tak łatwo się Was pozbyli?

- Potem przychodził do mnie regularnie jeden człowiek i namawiał, żebym jednak wrócił i pomógł w osiągnięciu awansu. Na jednym ze spotkań dowiedziałem się, że trenerem jest tam Andrzej Strelau. Powiedziałem, że w takim razie nie jestem im do niczego potrzebny. "A pan uważa, że to zły pomysł?" - pytali. Powiedziałem, żeby odezwali się do mnie jak zmienia zdanie. I tak się stało. Znowu przyszedł do mnie Mietek, a na spotkaniu pytają, kogo ja bym chciał wziąć na trenera? Odpowiadam: Jurka Engela. Trochę obawiali się, czy będzie chciał wrócić, po tym jak go zwolnili, a ja im mówię: "Wy nas obu zwolniliście, ale my wam pokażemy, że się myliliście i awansujemy". Zadzwoiłem do Jurka do Bydgoszczy i on oczywiście był chętny do powrotu do Warszawy. Awansowaliśmy z Hutnikiem i Legia wzięła go jako drugiego trenera u Jerzego Kopy. Szef zapytał się mnie wtedy, czy Engel da sobie radę jako pierwszy trener. Odpowiedziałem krótko: da.

Pan z Kopą już w Legii nie pracował?

- Nie, Kopa już odszedł i poszedł z powrotem do Poznania. Odszedł też Rysiek Kosiński. Na początku zaczęło nam iść nawet nieźle.

W pierwszym sezonie (1985/86) zdobyliście wicemistrzostwo po głośnym 0-3 z Górnikiem.

- Mieliliśmy, co zawsze powtarzałem, siedmiu reprezentantów kraju i dwóch młodzieżówek - Witka Sikorskiego i Jarka Araszkiewicza, i nie zdobyliśmy właściwie nic. Bo czym jest drugie, czy trzecie miejsce? Ja uwierzyłem święcie w swoją gwiazdę i byłem przekonany, że gdzie pójdę, to będą wyniki. Tak się złożyło w Polonii, w Hutniku, a później w 1970... pojechałem przypadkiem karetką pogotowia na Wyścig Pokoju i... nasi zdobyli wszystko, co można było. Doktor Rusin wprowadził mnie do tego, co mam dawać kolarzom, jak robić kogel-mogiel. Lubię pomagać ludziom, a szczególnie w sporcie i mi się to bardzo podobało. Liczyłem, że podobnie będzie w Legii, ale nie wiedziałem, że w lidze takie rzeczy się załatwia... W tym wszystkim, mecz z Górnikiem to już był finał i chamski przekręt.

Jest trochę prawdy w tym, że Górnik przekazał pieniądze za ten mecz w pudełku po butach?

- Nie trochę, tylko cała prawda! Ja to pudełko z butami wymieniłem na drugie buty, za które wykupiłem Buncolowi mieszkanie na Wiatracznej. Miałem klucze od tego mieszkania i trzymałem je, bo przecież Buncol już wyjechał. Andrzej za to pudełko wyjechał za granicę mając 28 lat, a limit wynosił wtedy 30. To za co pojechał?! Dobrze, że tego pudełka, wtedy pod szatnią w Zabrze nie szarpnąłem. To co mówi Jan Urban to jest kłamstwo. Szkoda mi go.

Urban wiedział o tym? Wszyscy z Górnika wiedzieli o ustawieniu meczu, czy może to było załatwione przez trzech zawodników z jednej i drugiej drużyny?

- Była mała garstka, która o tym wie. I oni wiedzą, że wiem o tym co zrobili. Ci zawodnicy idą dalej - oni przecież robili jeszcze inne numery i niektórzy teraz są blisko reprezentacji. Ta grupa mówi teraz, że będzie uzdrawiać polską piłkę nożną. Nie uzdrowią, bo oni mają swoją mentalność. Tylko oszukują ludzi. Po meczu z Górnikiem balon pękł, coś w drużynie pękło. Zaczęły się podziały na tych co

wzięli, tych co nie wzięli i podejrzani zaczęli przepychanki. To już był koniec, nie było drużyny.

Trener Engel podejrzewał co się święci przed meczem, a może w trakcie?

- Ja wyczułem, że Engel początkowo walczył o to i albo udawał, że nie wie, albo nie wiedział... A mnie natknął na to wszystko przypadek. Witkowi Sikorskiemu pękła wtedy sznurówka, a ja nie wziąłem sznurówek z Warszawy. Trzeba pamiętać, że wtedy kierownik był od wszystkiego. Poszedłem więc po nie do magazynu. W tym czasie Jurek Engel prowadził już odprawę przed meczem. Nie było na niej Buncola. "Gdzie jest Buncol?" - pytają się wszyscy. "Był przed chwilą" - pada odpowiedź. Idąc po sznurówkę do magazynu, zobaczyłem go i w tym momencie, w którym podszedłem, wyszedł Jan Urban z pudełkiem. I on po latach mówi, że Buncol przywiózł do Warszawy buty! Buncol mógł mieć takich butów i tysiąc! Urban dał Buncolowi to pudełko. Powiedziałem Andrzejowi, żeby poszedł do szatni, bo trener prowadzi odprawę. "Dobra, zaraz pójde" - odpowiedział. Powiedziałem, żeby dał mi pudełko, ja dołączę do sprzętu i w Warszawie mu oddam. W głowie mi się nie mieściło, żeby było coś nie tak. Taki ważny mecz, a Buncol taki nieskupiony. A oni to robili jawnie, wcale się z tym nie kryli. Zawodnicy robili wtedy co chcieli, to oni zmieniali trenerów, prezesów... Ale wracając do wątku - Buncol nie chciał mi dać tego pudełka. Wtedy przyjechał niebieskim Fordem - pierwszy i ostatni raz - cinkciarz taki, dobry kolega Jacka Kazimierskiego i właśnie Andrzeja Buncola. Andrzej jemu dał to pudełko. Do niego miał zaufanie, do mnie nie. Później, jak już przemyślałem wszystko i połączyłem fakty, to całe szczęście, że nie szarpnąłem wtedy tego pudełka, bo pewnie i mnie by "szarpnęli". Tacy ludzie byli w to zamieszani, że lepiej nie mówić. Bardzo wysoko postawieni, stąd załatwili Andrzejowi wyjazd w wieku 28 lat.

Bramka Dziekanowskiego strzelona Bałtykowi Gdynia była najładniejszą w tamtym czasie?

- Muszę przyznać, że tej bramki nie pamiętam, ale "Dzekan" strzelał dużo ładnych bramek. Potrafił grać w piłkę. Powiem panu, według mojego mniemania to był kompletny piłkarz. Potrafił wszystko. Potrafił ośmieszyć ludzi, strzelać bramki, natomiast jako człowiek mam do niego dużo zastrzeżeń. Jak miał humor, był do rany przyłoż. Jak nie miał humoru - były z nim duże problemy. Jurek Engel bardzo chciał go ściągnąć z Widzewa. Zresztą "Dzekan", jak pan zapewne pamięta, "dusił" się tam.

Dzekanowski był świetnym zawodnikiem, ale czy był wart tak ogromnych jak na tamte czasy pieniędzy?

- Jakby chciał grać, wart był nawet większych. Przecież wziął go Celtic i w pucharach strzelił im 3-4 bramki. Ale później już nie było tak dobrze, bo chyba chciał rządzić klubem. A tam to tak nie działa - zawodnik jest tylko zawodnikiem. On naprawdę był zawodnikiem, który rządził całą ligą. Duże pieniądze? Ale to przecież między klubami, jedni i drudzy chcieli, tylko działacze zrobili to w białych rękawiczkach. On był wielkim zawodnikiem. Chociaż kibice Legii szaleją na punkcie Deyny, to największym zawodnikiem klubu był, jest i będzie Lucjan Brychczy. To był Messi ówczesnych czasów. Tyle, że nie było wtedy takiego ciągu na zdobywanie bramek, tylko trochę zabawy na boisku, na ośmieszanie. Brychczy robił w polskiej lidze co chciał. Pol, Kowal byli jemu podporządkowani. To był wypisz-wymaluj - Messi. Był cichy, gdzieś z boku, bardzo uczciwy człowiek. Grał w meczu sparingowym na Marymoncie pomiędzy kadrą A i kadrą B. Co on wyprawiał z gwiazdami z kadry A, bo tam grali wielcy zawodnicy, to wszyscy mieliśmy gęby rozdziawione. Piętki, przerzuty, to wszystko mu wychodziło pięknie. Później wzięła go Legia do wojska i to samo robił w ligowych meczach. Kiedyś Barana z ŁKS-u, reprezentanta kraju, ośmieszył tak, że ten sam chciał zejść z boiska. On robił dżem z zawodników. A jak jeszcze mu ktoś założył za skórę i go kopnął, to Brychczy kładł go na ziemię jak frajera. Nie nadążali za nim, był niesamowicie techniczny. Nie Deyna był wielką gwiazdą Legii, tylko właśnie Brychczy. Nawet nie tylko piłkarsko, ale też warto pamiętać, ile lat spędził w Legii, ile razy był królem strzelców. Drugi na liście po Pohlu. A ile on dawał piłek Pohlowi, żeby ten strzelał...

Dlaczego Brychczy zawsze wzbierał się przed zostaniem pierwszym trenerem? Jak już pełnił tę funkcję, to zaraz potem bardzo chętnie odchodził w cień i zostawał asystentem?

- Mi się wydaje, że zwyczajnie nie miał daru do trenerki. Nie miał daru użerania się z ludźmi. On jest człowiekiem, który mówi raz i chce być wysłuchany. Był takim samym trenerem jak zawodnikiem. A to, że był wielkim zawodnikiem, chyba dotarło do niego trochę później. Miał zły okres urodzenia, bo urodził się między Cieślikiem a Lubańskim. Jeden był już wielką gwiazdą, a Brychczy na niego pracował. Przecież z Rosją dał mu dwie piłki, które Cieślík zamienił na bramki. Jaszyn krzyczał wtedy: 'Kryj etowo ciorta Brychczewo!'. Jak on kręcił wtedy Rosjan... Może jestem jak w Chrystusa wpatrzony, ale dla mnie numerem jeden w Legii był zawsze Brychczy.

Dlaczego Vejvoda był najlepszym trenerem Legii?

- Za "Pepika", do Legii przychodziło się jak do teatru. Przed meczem pół godziny zawodnicy rozgrzewali się z piłkami - grali krótkie, długie podania i ludzie przychodzili już to oglądać z otwartymi buziami. W czasie meczu, siedząc na trybunach, wiedzieliśmy co Legia zagra, jak będzie wyglądała kolejna akcja. Grali wtedy szablony, tak jak teraz Barcelona, czy Real. Tych szablonów ktoś ich musiał nauczyć.

Dzisiaj Legia nie gra szablonami. Może jedna akcja w meczu im wyjdzie w ten sposób. W meczu z Broendby za Urbana, Duńczycy zagrali trzy razy szablon. Ja się z trybuny wydzieriałem, że będą grali znowu to samo. Prosty szablon - obrońca do pomocnika, pomocnik odgrywa obrońcy i ten przerzuca nad obrońcą Legii. Zagrali trzy razy to samo i za trzecim razem strzelili bramkę. A trener siedzi na ławce i nie reaguje, jakby nie potrafił tego "przeczytać". Za "Pepika" Legia grała właśnie szablonami, a rywale, nawet Górnik Zabrze, nie byli w stanie przeciwstawić się temu.

Po tym sezonie, w którym Legia odpuściła Górnikowi, warszawiacy grali w europejskich pucharach. Po wyeliminowaniu Videotonu, minimalnie przegrali z Interem. Była szansa ich ograć?

- Przegraliśmy minimalnie, szansa na awans była duża. Przerabaliśmy ten mecz. W drugim meczu przegraliśmy przecież po dogrywce. Była końcówka dogrywki i oni wpuścili na boisko takiego łysego, Pietro Fannę, a w Legii wtedy wszyscy zawodnicy byli już "wypompowani". Jak tylko Włosi robili zmianę, mówiłem do Jurka - przesun "Kubę" [Kubickiego - przyp. B.], niech na niego gra krótko te 5-7 minut. Mówiłem, żeby nie zajmował się grą, tylko pilnowaniem Fanny, bo wiedziałem, że na niego będzie grał Inter. Wtedy doszłoby do karnych. A Jurek powiedział swoim głosem: "Zajmij się tym, czym masz się zajmować". I Fanna strzelił nam bramkę. Byłem potem strasznie załamany.

Druga rywalizacja z Interem już nie była do wygrania. To był moim zdaniem nieczysty mecz.

W europejskich pucharach też odchodziły takie numery?

- To był nieczysty mecz, ale szczegółów panu nie powiem, bo ci zawodnicy by zwariowali, gdybym to powiedział.

A w meczu z Barceloną? Wtedy sędziowie mocno faworyzowali Hiszpanów i popełnili błędy na ich korzyść.

- Tam mieliśmy wygrany mecz 2-0. Bramka padła prawidłowo, a sędzia nas zahamował. Później podyktował rzut karny dla Barcelony. Karny był... ale nie byłoby go, gdyby padła druga bramka. W tym meczu zaskoczyło mnie jak stoper Barcelony rozgrywał piłki. Koeman robił to wyśmienicie. On rzucał takie piłki, że głowa mała! Trzeba pamiętać, że Barcelona nas zlekceważyła, szczególnie w pierwszym meczu. Nie spodziewali się, że Legia ma tak dobrych piłkarzy. I po 1-1 w pierwszym meczu, oni już musieli się obawiać. Mieli wtedy obstawę. To tak jak Bayern.

Przy okazji rywalizacji z Legią gdy przegraliśmy 3-7?

- Tak. Nie wiem dlaczego oni zamykali się w autobusie i nikogo nie puszczali przed meczem. Obstawę wyrzucili. Przylecieli samolotem, a do Warszawy przyjechał luzem jeszcze ich autokar. Do autobusu nikt nie mógł się zbliżyć. Czemu miało to służyć? Myślę, że się nafaszerowali. I oni ograli nas wysoko, nie mieliśmy tutaj żadnych szans. Na wyjeździe mieliśmy - gdyby Stasiek Terlecki grał pod zespół, to nie wiem co by się tam działo. On kręcił Niemców i dawał sobie radę, ale skończyło się 3-1.

Na ten mecz mieliśmy zresztą wyjść w koszulkach adidasa z reklamą MuellerMilch, której menedżerem był Andrzej Grajewski. Ale ponoć Bayern się nie zgodził i wyszliśmy w koszulkach jak chłopki... Kalinka kefir. Nasze władze, pułkownicy powinni zareagować. Sam przywiozłem trzy walizki sprzętu, koszulki adidasa bez napisów. Ale ktoś się na to zgodził.

Jak drużyna podróżowała wtedy do Mediolanu, Stavanger czy na Węgry na mecz z Videotonem?

- Lataliśmy samolotami. Ale nie zapomnę jak kierowcy wieźli nas autokarem na lotnisko, jak lecieliśmy do Czech [w czerwcu 1986 roku na mecz Pucharu Intertoto - przyp. B.]. Przeżyliśmy wtedy gehennę. Autobus Tatra, a z licznika nawet na moment nie schodziło 140 kilometrów na godzinę. A wiozło nas dwóch kierowców, którzy zmieniali się w locie! Graliśmy wtedy z Sigmą Ołomuniec. Niektórzy zawodnicy się śmiali, ale większość była przerażona. My nie mieliśmy prawa zdążyć na samolot, a wyszło tak, że mieliśmy jeszcze pół godziny zapasu.

Do Związku Radzieckiego [na mecz z Dnipro - przyp. B.] natomiast lecieliśmy czarterem, a ponieważ odbywały się były manewry, nie chcieli zgodzić się na cywilny czarter. Tylko wojskowy mógł polecieć. I poleciliśmy desantowym samolotem, w którym z boku znajdowały się ławki dla spadochroniarzy. Wchodziliśmy do niego tyłem. On zatrzymał się jako czarter na lotnisku w

Dniepropietrowsku. Nie podchodzili do nas na lotnisku, jakby nas nie było. Pilotami było wtedy dwóch młodych ludzi, którzy latali na odrzutowcach ponadźwiękowych. Zostali odrzuceni przez komisję lekarską, ze względu na problemy z kręgosłupem. Co oni z nami zrobili... Jak wystartowali z tego lotniska, poszedł taki dym, że wszyscy się przeżegnali. Zawodnicy przybiegali - "Kierowniku, niech pan idzie od nich do kabiny i powie, że się pali". Poszedłem, otwieram drzwi, a oni się śmieją. "Trochę przeobrotowaliśmy" - powiedzieli. To było w drodze powrotnej. A jak lecieliśmy w pierwszą stronę, był inny numer. Bo piloci są co jakiś czas instruowani przez Rosjan, że przekroczyli granicę. Wolno im było lecieć tylko "korytarzem", który wskazali im Rosjanie, a piloci specjalnie trochę w bok - tak się bawili. Na środku samolotu stał kubeł na pety, gdzieś z boku chłopaki grali w karty na walizkach sprzętowych. A "Wdowiec" poszedł do pilotów i poprosił, żeby ci zrobili "zapadkę". Stał przy kabinie, trzymał się i patrzył, co się będzie działo. Nagle wszyscy - zawodnicy, ten kubeł, sprzęt i wszystko było pod sufitem i potem z powrotem na ziemi. Wszyscy byli usmarowani, bo w kubku z petami było trochę wody. "O Boże, co się stało?" - pytali wszyscy zaniepokojeni. Ja patrzę na "Wdowca", a on sobie stoi i się śmieje. "Wdowiec" w końcu usiadł i po chwili było znowu to samo. "Trzeba drugi raz nastraszyć, żeby pewności nie nabrali" - powiedzieli mi ze śmiechem piloci, jak do nich zająrzałem.

A przy okazji tego meczu, to z Dnipro wygraliśmy taktyką Jurka Engela. Jak dojechaliśmy na stadion, muzyka rąbała strasznie. Oni chodzili z rękoma w kieszeni, tańczyli. Jurek to wykorzystał, nastawił zawodników tak, że gospodarze już nas zlekceważyli i takim cudem ich przeszliśmy. A to była bardzo dobra drużyna.

W przeszłości sportowcy Legii, nie tylko piłkarze, każdy wyjazd zagraniczny traktowali jako okazję, by sobie dorobić. W latach 80. tego nie było?

- Coś tam się działo, ale to nie było tak jak za czasów Żmijewskiego, że ortalionowe płaszcze, czy dolary przewozili i ich złapali. Nie widziałem żadnej wpadki. Jak lecieliśmy do Włoch, to na granicy rozebrali mnie do naga. Ktoś musiał ich podpuścić, bo sprzęt już nadałem, walizki na taśmie poszły już do samolotu. Później piłkarze chichotali, więc musieli mieć z tym coś wspólnego. Odnosnie przemytu, to w tych czasach zawodnicy za dobrze zarabiali, żeby pozwolić sobie na jakąś wpadkę. Może jakieś drobne rzeczy, ale takich akcji jak z Grotyńskim czy Tramsem już nie było.

Jak jechaliście na przykład do Mediolanu - warunki jakie tam zastaliście były zdecydowanie lepsze?

- To było wszystko luksusowe. Wtedy wszystkie koszty pokrywał organizator. My co prawda mogliśmy zmienić hotel, gdyby nam nie pasował. Jak oni przylatywali do nas, to już wcześniej mieli wybrany hotel, mieli swojego człowieka, który miał wiadomości, który jest odpowiedni i nasi organizatorzy to załatwiali.

To gdzie wtedy w Warszawie nocowali rywale Legii w europejskich pucharach?

- Różnie - w Europejskim czy Bristolu. Zespół gości nie ponosił z tego tytułu kosztów - to było później odliczane od tego, co klub zarobił na danej imprezie. Warunki były naprawdę dobre, nie można na nie narzekać. W Mediolanie, czy Barcelonie, chcieli nam zaproponować więcej, niż nam było potrzeba. Gospodarze chcieli nam zorganizować wycieczki, żebyśmy coś zwiedzili, ale piłkarze często nie byli zainteresowani, chcieli odpocząć przed meczem. Mieliśmy kiedyś jeszcze podróż do Chin. To była podróż, której nikt nie chciał. Od trenerów, po zawodników.

Kto to załatwiał w takim razie? Prezes klubu?

- Jeden człowiek, pan Dżu. Pracownik ambasady chińskiej i jednocześnie kibic Legii. On był z Chin, przychodził na mecze Legii w Warszawie. Wtedy było tak, że do Chin pojechała młodzieżowa reprezentacja Polski, przegrała w eliminacjach i odpadła. Był GKS Katowice, który również przegrał i jak my poleciliśmy, to wszyscy śmiali się, że będziemy kolejnymi, którzy przegrają. Kombinowaliśmy na różne sposoby, żeby tam nie lecieć. Na przykład, że nie mamy pięciu paszportów. A to wojskowi, więc nie to co dzisiaj, że każdy ma paszport. Wtedy wojskowemu w czynnej służbie, załatwienie paszportu było prawie niemożliwe. Podaliśmy ich specjalnie. W niedzielę zgłosiłem się na Koszykową do biura paszportowego. Wszyscy pracownicy musieli tam być. Nie byli szczęśliwi, że zamiast pojechać na działkę, musieli wystawić mi paszporty. Trwało to może z 10 minut i miałem je w ręku - paszporty dla wojskowych! Wtedy to było nie do po-myś-le-nia! Przecież musiała być zgoda MON-u, zgoda dowódcy jednostki, wiele różnych obwarowań - opinia, czyli to, czy ktoś nie ucieknie z kraju. Ambasada chińska załatwiła wszystko bezpośrednio z Jaruzelskim. Do Chin lecieliśmy przez Frankfurt. We Frankfurcie informacja - nie ma miejsc. No to wszyscy nasi ucieszyli się - wracamy do Polski. Ale, nie ma tak łatwo. Akurat do Chin wracała z Europy reprezentacja chińskich koszykarzy i... wysadzono ich z samolotu, a nas zapakowano na ich miejsce. Chińczycy cieszyli się, że w związku z tym dostali trochę dolarów kieszonkowego i mogli sobie coś za to kupić. Do tego czekał ich dodatkowy nocleg w hotelu we Frankfurcie. Co zaś działo się na pokładzie samolotu? Każdy wziął po litrze wódki, ot tak, żeby na miejscu mieć na jakiś prezent, poczęstować... Ale alkohol nie dotrwał do Chin - wszystko poszło na pokładzie. Samolot wyprawiał wtedy niesamowite hece. Jak dolecieliśmy na miejsce, nikt nie miał ochoty na zwiedzanie, tylko by się porządnie wyspać.

Mieliśmy ze sobą tłumacza - Adama, który był studentem w Polsce i znał oba języki. Podczas śniadania powiedziano nam, że miejsce, w którym przebywamy, nie jest zbyt bezpieczną dzielnicą, i żeby samemu nie opuszczać hotelu. Zastosowaliśmy się. Jeśli wtedy Legia grałaby w innych meczach, tak jak podczas spotkań w Chinach - mielibyśmy zapewniony finał europejskich pucharów! Co oni tam wyprawiali na boisku! Na każdym naszym meczu stadion pękał w szwach - było od 60 do 80 tysięcy ludzi. Jak graliśmy finał z reprezentacją Chin, było nawet 100 tysięcy kibiców, a na trybunach m.in. premier Chin. Fazę grupową przeszliśmy w cuglach, wygraliśmy też finał, a po nim miała miejsce runda honorowa. A po meczu był bankiet, na którym obecnych było 2 tysiące ludzi. Wielu z nas miało pierwszy raz w życiu okazję skosztować owoców morza. Było tam wielu wysoko postawionych chińskich polityków, którzy byli przekonani, że turniej wygra ich reprezentacja. Na mnie największe wrażenie zrobiło, gdy jechaliśmy na mecz finałowy i widzieliśmy około 80 tysięcy rowerów zostawionych przy stadionie. Zastanawialiśmy się wtedy, jak oni są w stanie odszukać swój rower, zostawiony w "kupkach" po 20 sztuk.

Inną niesamowitą sprawą było to, że wjeżdżaliśmy autokarem na sam stadion, pod wejście do klubu i szatni. Dzisiaj tak jest na wszystkich nowoczesnych stadionach, ale wtedy była to nowość.

Ale to nie koniec atrakcji związanych z tym wyjazdem. Po meczu finałowym do naszej szatni weszło trzech ochroniarzy ze spluwami. Poprosiliśmy Adama, tego tłumacza, żeby ich wyprosił, ale okazało się, że to niemożliwe. Na mieście spalonych zostało wtedy około 50 samochodów, bo miejscowi byli tak wściekli i nie mieściło im się w głowach, że ich reprezentacja mogła przegrać z Legią. Wtedy wmawiano im, że są najlepsi w piłkę. A my ich ograliśmy 3-0. Chociaż tak uczciwie mówiąc, to oni grali naprawdę dobrą piłkę - od "szesnastki" do szesnastki, ale gdy dochodzili do pola karnego, wtedy tracili głowę. Kazimierski zagrał świetnie, ale co wyprawiał "Dziekan"! On zrobił coś takiego, czego nie widziałem nigdy później. Do dzisiaj. Dwóch stoperów szło do niego z dwóch stron, piłka była zagrana od Kubickiego lobem. "Dziekan" puścił ją sobie z tyłu, i jak piłka zrobiła kozioł, zagrał piętą - jak swego czasu grał Lucjan Brychczy - stoperzy wpadli na siebie, a on przeszedł z piłką i z woleja w górny róg zapakował do bramki. Ludzie wstali z miejsc i bili brawo. Zastanawialiśmy się później, jak on to zrobił, bo to było genialne. Legioniści na tym turnieju grali na wielkim luzie i naprawdę wszystko im wychodziło. Chińczycy przyznawali później, że takiej drużyny jeszcze nie widzieli.

Ale wróćmy do momentu, gdy ochrona weszła z tymi spluwami. Wychodzimy z ochroniarzami do autokaru, a oni kazali się nam położyć, bo nie wiedzieli jaka będzie reakcja kibiców. Nasi oczywiście zlekceważyli ostrzeżenie i normalnie usiedli na fotelach. Tylko wyjechaliśmy, a Kubicki pierwszy zaczął machać w stronę fanów. Ci stanęli jak sparaliżowani. Myślimy - przewrócą autokar, czy nie? Ochrona z pistoletami w pełnej gotowości. A oni patrzą na "Kubę" i również zaczęli nam machać, później bić brawo, pukać w autokar, ale tak delikatnie. Dojechaliśmy do hotelu bez problemu. Mieszkaliśmy wtedy w Sheratonie, olbrzymim hotelu, gdzie w windzie można było spotkać tylko Polaków. A to dlatego, że winda pięknie oświetlona była jakby na zewnątrz hotelu i można było dojechać nią do restauracji na ostatnie piętro. Widok wprost niespotykany. Wielu z nas jeździło nią raz za razem, tak nam się to podobało.

Wtedy też miała miejsce sytuacja, kiedy "Dziekan" wracał z piwem i podpadł Jurkowi Engelowi. Zaczęli się trochę szarpać, co było zupełnie niepotrzebne. "Dziekana" wtedy chcieli zawiesić, ale udało mi się odkręcić to. Kazali wszystkim wojskowym - Lasocie, Staśkowi Machowskiemu, Brychczemu i całemu kierownictwu ubrać się w mundury i jechać na zarząd. Ja wraz z Jurkiem Engelem byłem po cywilu. Pierwszy raz widziałem tylu generałów w jednym miejscu. Generał Barański poinformował nas wtedy, że Dziekanowski dostaje 3 miesiące zawieszenia. Wtedy w wojsku było tak - rozkaz jest rozkaz. Padło pytanie, czy ktoś się nie zgadza, to mówię: - Ja się nie zgadzam.

Generałowie wtedy popatrzyli to na mnie, to na Barańskiego. Tłumaczyłem, że to bez sensu zawieszać najlepszego zawodnika, bo z tego mogłyby się cieszyć tylko inne kluby, z którymi mamy mecze do rozegrania. Zapytano mnie wtedy, jak to moim zdaniem, powinno zostać rozwiązane. Odpowiedziałem - tak jak na Zachodzie, wystarczy zastosować karę finansową. A piłkarze wtedy mieli olbrzymie pieniądze. Za dawnych czasów Legia chyba nigdy tyle nie zarabiała. A wywalczył te pensje Jurek Engel. Wtedy był system premiowania w ten sposób, że co mecz można było zarobić więcej, o drugą stawkę. Po remisie wracało się do pierwszej stawki, a dopiero po porażce premie spadały do zera. Generał wysłuchał mnie, następnie kazał wszystkim opuścić pomieszczenie, a gdy zaproszono nas ponownie, poinformowano, że Dziekanowski musi zapłacić 300 tysięcy złotych kary. Niezadowolony był Engel, bo nie wyszło tak jak chciał. Później zresztą sam również byłem niezadowolony, bowiem Barański zrobił szwindel.

Opowiem więcej. Dawniej kierownik drużyny był od wszystkiego - podtrzeć zawodnikowi tyłek, wypłacić pieniądze, czy pomóc gdy spowodował wypadek, tak jak zrobił to "Dziekan", potracając człowieka. Początkowo obawiałem się, że nie dam sobie rady, ale jak wpadłem w trans, to już wszystko lekko szło. Nawet lubiłem, jak któryś z zawodników potrzebował pomocy. Pewnego razu poszedłem do MON-u, odebrać pieniądze u szefa kasy. I mówi: "Niech przyjdzie 'Dziekan' po pieniądze, bo leżą już drugi tydzień, a on nie przychodzi". Zapaliła mi się wtedy czerwona lampka. Najpierw chciałem je odebrać samemu, ale nie było możliwości, bo generał powiedział, że "tylko jemu osobiście". Zapytałem tylko: 300 tysięcy? Dostałem potwierdzenie. Jak ja wyszedłem w tej sytuacji, którą

sam zaproponowałem?! A generał oddał mu pieniądze, które zapłacił na poczet kary. Przyszedłem do szatni, biorę "Dzekana" na bok i mówię, żeby poszedł do MON-u odebrać pieniądze. A on mnie pyta, czy sam nie mogę tego zrobić. Nie mogłem, więc sam odebrał, a później przyszedł z tą kasą do szatni. Rozpakował je, i przy Engelu machając pieniędzmi powiedział "Taki ch..., jak mnie ukarzenie". Engel popatrzył wtedy na mnie, a ja dopiero zrozumiałem, że miał rację. Zrobiłem głupotę. Nie pomyślałem, że wyjdzie z tego taki paszтет. Później przy okazji któregoś meczu przed lożą honorową spotkałem generała i powiedziałem mu, że źle postąpił z tym Dzekanowskim. - A co on zrobił? - spytał mnie generał, wypraszając na bok sekretarza. Odpowiedziałem, że wymachiwał pieniędzmi Engelowi przed nosem, przy całej szatni. - A to gówniarz. Mój błąd! - usłyszałem. Taka to była kara dla "Dzekana", że nie było żadnej kary...

Graliśmy kiedyś mecz w Tychach, a tam nastawieni byli tak, żeby nas kopać. Kopali nas powyżej kolan, Koseckiego i Dzekanowskiego to przerzucali raz na jedną, raz na drugą stronę, jak kotlety schabowe. A sędzia Wójcik? Nic. Po meczu byłem tak wkurzony, że powiedziałem mu, że pan to jest jak biorący narkotyki - raz bierze, raz nie bierze. Dostałem wtedy naganę od Żbikowskiego, szefa klubu, bo całe zajście miało miejsce przy dziennikarzu katowickiego Sportu. Później Stefan Szczepłek napisał tekst, wyjaśniając co dokładnie powiedziałem. A sędzia Wójcik nagany nie dostał za skandaliczne sędziowanie, które wiadomo czym było spowodowane. Sędziowanie jest takie samo dziś, i takie samo było dawniej. Tłumaczę to kibicom - według mnie tylko oni mogą doprowadzić do tego, że sędziowie w końcu zaczną zajmować się wreszcie sędziowaniem. Uczciwym sędziowaniem. We Włoszech zaczyna być tak, że jak ktoś wydrukuje mecz, nawet dla gospodarzy, to obrzucają go kamieniami albo będą na niego pluli i bluźnili. Jak tak samo będzie w każdym kraju, nie będzie przyzwolenia na przekręty sędziów, doprowadzi się piłkę do porządku.

W meczu w Zabrzu w 1986 roku można mieć jakieś pretensje do sędziego?

- Sędzia "dołożył" się na jakieś 10 procent. Mecz był robiony gdzie indziej. Rozgrywający jak miał podać piłkę Arceuszowi, czy 'Dzekanowi', to podawał im dopiero, jak ci byli na spalonym. Obrońcy Górnika grali modny obecnie hiszpański futbol - za linią środkową boiska, w ogóle nie przejmując się tym, że ktoś może przejść. Bo nikt nie mógł przejść - tak było uzgodnione. Pierwsza bramka padła tak, że Wdowczyk, który mógł zrobić wszystko, główkował pod nogi rywala na piąty, czy szósty metr przed naszą bramką. Cieszy jedynie, że w nowym sezonie, gdy pojechaliliśmy do Zabrza, wygraliśmy pewnie 4-2. Tego trenera, który był w sezonie 85/86 wyrzucili, a wzięli Leszka Ćmikiewicza, którego mi szkoda. Po tym przegranym meczu z Legią został zwolniony. Nie jestem w stanie zrozumieć jak wielka Legia nie dba o swoich ludzi, a po latach zatrudnia kierownika zabrzańskiej drużyny z roku 1986 [Edwarda Sochę - przyp. B.], czy czołowego zawodnika na trenera [chodzi o Jana Urbana - przyp. B.]. Tu powinno się sprowadzać ludzi, którzy będą pasowali.

Trenerem Legii był np. Stefan Białas, legionista. To dobry wybór?

- Jestem za zatrudnieniem trenera zagranicznego. Trenera z prawdziwego zdarzenia. Legię stać na to, żeby zatrudnić osobę, z którą wszyscy piłkarze będą się liczyli, by wiedzieli, że to jest trener z prawdziwego zdarzenia.

Jako, że jestem wychowankiem pana Jurka Szularza z Polonii, więc inaczej widzę wiele kwestii pomiędzy warszawskimi klubami. Na miejscu Legii, w momencie gdy Król był winien 5 milionów i można było jeszcze utrzymać Polonię w ekstraklasie, to gdybym był prezesem Legii, dałbym po cichu tę kasę Polonii. To byłoby z korzyścią dla Legii, jakby się tylko postarać. Wystarczyłoby podpisać odpowiednią umowę i Legia mogłaby ogrywać swoich wychowanków w ekstraklasie, w Warszawie, a nie rzucać ich po całej Polsce i słabych drużynach. Do tego klub miałby jeden wyjazd w sezonie mniej i rywala pod boki. Ale wszyscy dziś krzyczą "wojna", jakby zapominając, że w latach 50. na Polonię przychodziło zdecydowanie więcej kibiców.

No to jak już tak opowiadam... W latach 50. mistrzem Polski był OWKS Kraków (Wawel), były też mocne OWKS Bydgoszcz (Zawisza), czy II-ligowy OWKS Lublin (Lublinianka). Ale rozwiązano te drużyny, co pomogło utrzymać się w lidze CWKS-owi. Po rozwiązaniu tych drużyn w lidze była nieparzysta liczba drużyn. Można powiedzieć, że te zmiany pozwoliły ŁKS-owi na zdobycie mistrza Polski. Trafili wtedy do nich Jezierski i Soporek z Lublinianki, a także Szymborski, i tak zdobyli mistrzostwo.

A jak było w 1992 roku?

- Legia powinna postawić pomnik Romanowskiemu. Byłem kiedyś u niego na spotkaniu, co załatwił mi Stasiak Machowski i zapytałem, czy wie, że jest oszukiwany. Romanowski powiedział, że jeśli rozmowa będzie rzeczowa, to porozmawiamy dłużej, jeśli nie, nie dłużej niż 5 minut. I rozmawialiśmy przez dwie godziny, a w tym czasie zaglądali do gabinetu Mazurek i inni. Jak mnie zobaczyli, to trzęśli się, jakby mieli febrę, bo wiedzieli, że powiem za dużo. Mogę powiedzieć jedynie, że to nieuczciwi ludzie, a głośniej bym powiedział kto to jest, jakby nie ten dyktafon leżący na stole.

A i powiem panu - czytałem ileś lat później wywiad z Jóźwiakiem, który mówił jak to utrzymał Legię w ekstraklasie. Spotkałem go później na pogrzebie Władka Stachurskiego... Kim był wtedy Jóźwiak? To człowiek, który był sprowadzony do Legii przez kumpla Jurka Engela, a Engel wcale go nie chciał. Nie chciał go w Legii! To ja wyprosiłem Jurka, żeby sprawdził go w drugiej drużynie. Sprawdził i okazało się, że jako prawy obrońca wcale nie jest taki kulawy. Piłkę odebrać potrafił, głową grał dobrze. Najgorsze było to, gdy był przy piłce. To był koniec. On nie mógł jej za długo trzymać, bo paraliżowało go i często oddawał rywalowi.

Później jednak trafił do grupy, która kantowała Waltera, sprowadzała zawodników z Brazylii. Siódmy rzut. Niech pan wymieni jednego, którego on sprowadził do Legii i się sprawdził. Chce pan może wymienić tego obrońcę, który wolne strzelał? Pod Edsona trzeba było ustawiać cały system - gwizdać Legii faule z jednego miejsca, które miał "obcykane". Przyszedłem kiedyś na trening Legii i skończyło się tak, że Wdowczyk wygonił mnie z trybuny! Siedziałem wtedy i dziwiłem się, że oni trenowali rzuty wolne z jednego miejsca. Skąd oni wiedzieli, że sędzia gwizdnie właśnie w tym miejscu?! Poszedłem później na mecz i co widzę? Sędzia gwizdza rzut wolny z tego właśnie miejsca, a Edson strzela gola... Fakt, że miał dobrą nogę do uderzania wolnych, ale pod niego trzeba było "uruchomić" zbyt wielu ludzi. W tamtym sezonie Legia, żeby zdobyć mistrzostwo musiała wygrać w Zabrzu. Na ten mecz sprowadzono sędziego z USA [Arkadiusza Prusia - przyp. B.] - kolegę naszego reprezentacyjnego stopera. W ten sposób nigdy nie odbudujemy piłki.

Wracając do roku 92 - Pisz nie zagrał w ważnym dla Legii bezpośrednim meczu z Motorem.

- Romanowski wykluczył Piszę, co Leszkowi zarzucałem. Mówiłem mu, że skoro Władek [Stachurski - przyp. B.] wygonił go z Legii do Motoru, to powinien grać tam przynajmniej do końca sezonu. Wiem, że głupio było grać przeciwko Legii, żeby ona spadła, ale trzeba było grać na całego i zobaczyć na koniec sezonu kto spadnie. A tak z ligi spadł Motor. A że nie wypłacili pieniędzy, tylko Romanowski kupił z Motoru dwóch zawodników, którzy tutaj nie pasowali?

Jak było w ogóle z transferem Piszę do Legii? Kto go "wymyślił", wypatrzył?

- To ja zwariowałem! Podpadłem wtedy strasznie, ale później nie żałowałem, jak na przykład z Dziekanowskim, o czym już mówiłem. Szukaliśmy rozgrywającego. Engelowi wyszło się, że rozgrywającym po Buncolu będzie Janek Karaś. To nie był gość na środek pola, dyrygowanie grą. Karaś był bocznym pomocnikiem, który potrafił przyp..., głowę wstawić, tam gdzie inni bali się włożyć nogę. I tu się sprawdzał, do tego miał uderzenie z dystansu, ale nie do rozegrania. Sam zacząłem szukać rozgrywającego, bo w tym klubie rozgrywający zawsze był na wysokim poziomie. Zientara, Sikorski, Deyna, Brychczy... dawniej to była podstawa Legii. Podpowiedział mi kolega, żeby sprawdzić Piszę.

Mówił, że to jest chłopak do grania, mający "pokrętko", potrafiący rzucić piłkę na 50 metrów. Nie do końca w to wierzyłem, poszedłem więc do PZPN-u, by podpytać trenującego kiedyś młodzieżówkę Zientarę [w latach 83-87 - przyp. B.]. On powiedział: "Pierwszy mnie pan o to pyta, ale on by pasował. Tylko, czy wy byście pozwolili mu rozgrywać piłkę?". My wtedy nie mieliśmy nikogo na tę pozycję. Nie widziałem Piszę na żywo, wiedziałem tylko to, czego dowiedziałem się od innych trenerów. Zgłosiłem się z tym do Jurka Engela i spotkałem się z protestem. "Gdzie Pisz?". Ale ja jestem bardzo uparty, i zacząłem chodzić i załatwiać, aż doszedłem do tego, że już mamy Piszę. Pojechałem wtedy do Dębicy z wojskowym kierowcą. Wszystko było już załatwione z ich prezesem. Potrzebowałem tylko jego kartę. To przy okazji zapytałem, czy mogę zobaczyć się z zawodnikiem. Zawołano go, bo właśnie siedział obok na ławce. Leszek wstaje, ja patrzę, a on... jakby nadal siedział. Metr pięćdziesiąt w kapeluszu. Myślę sobie wtedy - ale mnie na minę wsadzili. Gdzie taki niski do piłki?

A Leszek mówi śmiało: "Co pan taką minę zrobił kierownikowi?". Odpowiedziałem, że nie podejrzewałem, że jest taki niski. Później zapytał, czy mógłby zostać jeszcze parę dni, pożegnać się z kolegami z drużyny i przyjechać z zespołem do Warszawy na mecz z Hutnikiem, po którym już by został w Warszawie. Nie chciałem tego brać na siebie, więc zadzwoniłem do klubu i ustaliłem, że nie ma problemu. Jurek powiedział przez telefon ze śmiechem: "Przecież on i tak nie będzie grał".

Zakwaterowałem go do jednostki na Żwirki i Wigury, razem z Robakiewiczem. Oni tylko prosili, żeby nie musieli zostawać w tej jednostce. Wiedziałem, że nie mogę do tego dopuścić. Zakwaterowałem Piszę w jednostce i mówię do zastępcy dowódcy jednostki: Ale ja go zabieram. - Ale gdzie? - Mam polecenie, że tylko ubieracie go na chwilę w mundur, ale zabieram go. - Pan żartuje? - No to chcę rozmawiać z dowódcą jednostki.

No i przyszedł po chwili. Wiedziałem, że muszę zagrać va banque, bo pewnie nie będzie sprawdzał. I mówię: - Pisz miał złożyć przysięgę w gabinecie i miałem go zabrać. - A od kogo ma pan takie polecenie? - Od generała Barańskiego. - Jeżeli to ustalone, to dobrze. Zaraz zadzwonię potwierdzić.

Ale widocznie nie zadzwonił, albo tak daleko nie sięgał. I zabrałem Piszę z jednostki. Leszek do dzisiaj mówi: Co to by było, gdyby pan nas tam zostawił. (śmiech)

I przy okazji "Robaka", bo on też był z nami. A wie pan, jak "Robaka" wyniuchałem? Pojechaliśmy na mecz ŁKS - Gwardia i tam wypatrzyłem bramkarza, który technicznie prezentował się ekstra. A szukaliśmy wtedy bramkarza, bo mieliśmy tylko Szczęsnego. Powiedziałem do Jurka Engela - zobacz, ten chłopak jest dobry, przydałby się nam na rezerwie. Jurek był przekonany, że Robakiewicz do Legii nie przyjdzie. Nie czekałem długo i poszedłem do szatni łódzian, wziąłem "Robaka" na bok i zapytałem, z którego jest rocznika. "Chciałbyś przyjść do Legii?" - zapytałem. Widziałem błysk w jego oczach, więc powiedziałem: "No to już jesteś w Legii. Spisz mi teraz tylko swoje dane". Zbyszek wtedy lekko wystraszył się, że zobaczą to działacze ŁKS-u, ale dał dane. Poszedłem do szefa klubu, powiedziałem, że potrzebuję tego bramkarza. On obawiał się, że trzeba będzie toczyć o niego bój z łódzkim klubem, ale uspokoiłem, że zawodnik jest zdecydowany.

Nie było problemów z zakwaterowaniem w Warszawie?

- Pisz ułokowałem pod kortami. Przyszedł na pierwszy trening i poszedł ze mną do magazynierki, żeby wydała Leszkowi sprzęt. Pyta się Leszka: Jak się pan nazywa? - Pisz. - Ja wiem co mam robić - odpowiedziała. Myślałem, że wtedy padnę ze śmiechu. Na treningu była gierka w poprzek boiska, a trzeba pamiętać, że miałem ludzi przeciwnych mojemu pomysłowi z Piszem. Przedstawiłem go drużynie, a Witek Sikorski od razu z pytaniem: To kierownika synek? Odpowiedziałem: Nie, breloczek. Pamiętam, że mówiłem Leszkowi, żeby się nie dał, bo na pewno będą chcieli mu pokazać, dać w kość. "Kierowniku, ja dam sobie radę" - odparł. Na początek zagrali w dziadka. Jak tylko wyszedł ze środka, zaczął zakładać im siatki, że wszyscy gęby pootwierali. "Dziekanowi" wybrał siatkę zza dupy - a to najgorsza siatka dla piłkarzy. Puścił mu piłkę między nogami i za tyłkiem zaraz mu wybierał tą piłkę. Później była gierka - w jednej bramce Kazimierski, w drugiej Robakiewicz. Leszek wyszedł sam na sam z Kazimierskim, który potrafił wejść tak, że urwie nogę. Pisz minął go i postawił piłkę na linii, nie strzelał bramki. Dla bramkarza to koniec świata, większy obciach niż by mu gola strzelił, a Kazimierski był wtedy w Legii Bogiem. Kazimierski krzyczy: "Jak mi tu jeszcze raz podejdzie karakan, to mu nogę urwę!". Nie mogło zdarzyć się nic innego, niż znowu dogranie na końcówkę do Pisz, żeby sprawdzić, czy Kazimierski urwie, czy nie urwie. Było ślisko, Jacek zrobił trzy kroki i od bramki sunie po ziemi jak pługiem. Leszek złapał piłkę nogami, skoczył nad Kazimierskim, postawił piłkę na linii i szpicem pyknął pod poprzeczkę. Jacek schodząc z boiska podszedł do mnie i mówi: Niezłego zawodnika pan ściągnął, co to za chłopak?

Od początku Pisz miał taki rad do rzutów wolnych?

- Ha! Pojechałem kilka dni później do Dębicy załatwić jakieś sprawy Leszka i spotkałem Przepiórkowskiego, takiego piłkarza, który kiedyś też grał w Polonii. Ten mnie pyta, jak Leszek prezentuje się w Warszawie i mówi: kierowniku, a jak on wolne strzela! Myślałem, że mnie wypuszcza, ale "Przepiór" mówi dalej, że naprawdę, że nastrzelał tych bramek w Dębicy bez liku. Jak tylko wróciłem do Warszawy, pobiegłem przekazać tę wiadomość. Akurat był dzień, kiedy mieliśmy trening popołudniu, więc rano wyciągnąłem Pisz i bramkarza rezerwowego - Przybylskiego. Leszek uderzył raz i drugi, to mówię do niego, trochę z przekąsem - tak to i ja potrafię. Powiesiłem na bramce ręcznik i mówię, żeby w niego uderzał. Ustawiłem jeszcze mur na siódmym metrze, celowo nie na dziewiątym. Bramkarz nic nie mógł złapać! Podzieliłem się tą wiedzą z Engelem, a ten oczywiście zaczął się śmiać. Zaproponowałem więc, żeby zrobił trening ze stacjami, jak w koszykówce - trafisz - przechodzisz do kolejnej stacji. Leszek oczywiście był najlepszy - dawno skończył, a inni męczyli się, by pokonać Kazimierskiego. No i co tu zrobić, skoro od wolnych był m.in. Dziekanowski? Engel bał się to powiedzieć drużynie, że wolne w meczach ma strzelać Pisz. Wiedziałem, że jak tego nie zakomunikuje, nikt młodemu nie pozwoli podejść do piłki.

To prawda, że pomógł Pan ściągnąć do Legii także wielu innych zawodników?

- Do Legii ściągnąłem nie tylko Robakiewicza, ale również miałem 50 procent udziału przy sprowadzaniu Szczęsnego - drugie 50% Engel. On przyszedł do nas zaraz po tym, jak trzepak zabił mu córkę. Szczęsny to był kandydat na wieloletniego reprezentanta Polski. Tak sprawnego, szybkiego i dobrego bramkarza to nie widziałem. Syn po nim to odziedziczył, a ma 40% umiejętności Maćka.

Miałem też swój udział przy sprowadzeniu Jóźwiaka czy Cyzia. Tego drugiego wypatrzyłem na młodzieżówce, jak był jeszcze zawodnikiem Pogoni. To nie była łatwa sprawa, ale szef klubu stanął na wysokości zadania. Wziął prezesa Pogoni na rundkę wokół stadionu i już Cyzio był nasz. Wystarczyło, że powiedział: albo ściągniemy do jednostki wojskowej Leśniaka i dwóch innych, albo dadcie nam Cyzia.

Sprowadziłem też Czykiera. Po pucharowym meczu drużyna Jagiellonii wyprosiła na mnie, żebym go ściągnął do Legii. Bali się, że w Białymstoku się rozpije. Szkoda, że rozpił się i w Warszawie. Może w finale z Legią nie błyszczał jakoś, ale jak do nas trafił, widać było, że ma to coś. To były inne czasy z transferami, kontraktami - jakby nie pasował, wyładowałby w drugiej drużynie, jak tam nie pasował - to do jednostki wojskowej. Okazało się, że potrafił grać w piłkę. Rozmowy w sprawie jego sprowadzenia odbyły się wraz z pierwszym prywatnym sponsorem, Wojtysiakiem w hotelu Solec.

Arceusz strzelał bramki w sparingach, ale Kopa chciał go wyrzucić. Udało mi się wyprosić Engela, żeby go zatrzymać. Może nie był

artystą, ale strzelał bramki. Jakby był jeszcze ktoś w drużynie, kto dograłby mu dobrą piłkę... Co prawda był "Dziekan", ale gdy mu powiedziałem, żeby podawał Arceuszowi, to przecież jeden i drugi zarobi na premiach, to Darek - autentycznie odpowiedział: Panie kierowniku, ja będę Arceuszowi podawać piłki?!

Kto jeszcze?

- Andrzej Łatka był w jednostce wojskowej i już po niego wyciągała ręce Stal Mielec. Dowiedziałem się ukradkiem, że jest w jednostce w Lublinie. Chcieli go tam przetrzymać, żeby trafił do Stali. Pojechałem tam do jednostki i wyciągnąłem do Legii. Trafił też do nas Zbyszek Antolak z Hutnika - wielki talent. Pojechał z nami na obóz na Malte, i on zrobił wiatrak z wielkiego stopera, reprezentanta Niemiec z VfB Stuttgart. Zbyszek miał fantastyczną technikę. Kiedyś jak byliśmy w Bydgoszczy i graliśmy na sali, Paweł Janas - jak ten kręcił nim raz za razem - przybił mu nogę do drabinki i Antolak doznał kontuzji. Było po zawodniku.

Kolejny sprowadzony dzięki mnie to Arkadiusz Gmur z Olimpii Warszawa.

Dzekan zdobył tytuł króla strzelców po tym jak strzelił Olimpii Poznań trzy bramki. Przed tym meczem "Dzekan" urwał się Andrzejowi Strejlauowi ze zgrupowania w Warszawie, wraz z Terleckim na kawę. Wyniuchałem to. Po naszej wygranej 4-2 w Zabrzu z Górnikiem, major z Olimpii Poznań wziął dwóch naszych zawodników z szatni na bok - Dziekanowskiego i Janasa. Wtedy jeszcze nie wiedziałem o co chodzi. Dopiero jak doszło do meczu z Olimpią, gdy "Dzekan" mógł zdobyć tytuł króla strzelców, skojarzyłem fakty. Wtedy obowiązywał system nagradzania dodatkowym punktem za wygraną trzema bramkami oraz ujemnych punktów za porażkę trzema. Nieskromnie powiem, że sam ten system wymyśliłem, ale dopiero po czasie doszedłem do tego, że... wymyśliłem bzdurę. Janas z Gmurem grali na stoperze w tym meczu przeciwko Olimpii. Zrozumiałem o co chodziło - Janas miał "wystawić" Gmura, co zresztą szybko się potwierdziło. Paweł jak tylko dostał piłkę, już Mielcarski i inni poznańscy gracze, pędzili jak charty ze środka, ale nie w stronę Janasa, a do Gmura. Janas odegrał oczywiście piłkę do Gmura, poznaniacy rzucili się na niego, ale Gmur jak to on, wybił piłkę w aut. Paweł chwilę później ponowił to samo zagranie, ale tym razem Gmur chciał wyjść na profesora i pójść w kiwkę. Zabrali mu piłkę i było 1-0. Wtedy jak piłkarze schodzili do szatni powiedziałem do nich: "Co wy się denerwujecie, przecież my ten mecz wygramy. Mogę nawet na tablicy napisać, jaki będzie wynik, a nawet kto strzeli bramki". Dziekan odpysknął: "Niech pan się nie wp... w nieswoje sprawy". Napisałem na tablicy "3-1, Dziekanowski". Iwanicki wkurzony pytał mnie po meczu, skąd wiedziałem. Oczywiście miałem rację, było 3-1, a Dziekan został królem strzelców.

Lecimy dalej. Kruszanekin z ŁKS-u. Skradaliśmy się na kadrze młodzieżowej, żeby ściągnąć tego stopera, bo nie było w Legii zawodnika na tę pozycję. Miałem próbę na przykład do Warzuchy. On był niby na studiach na AWF-ie, ale dowiedziałem się przez pułkownika Wieczorka, mającego pod sobą szkolnictwo, czy jest taki gość na liście. Okazało się, że jest na liście, ale nie studiuje. Z Lasotem pojechaliliśmy do Ruchu, żeby Warzuchy nie ruszyli. Musieliśmy zaparkować siedem ulic od stadionu, żeby nikt nie podejrzewał, że z Warszawy ludzie przyjechali. Porozmawialiśmy z Warzuchą, a oni wtedy chcieli wejść do ligi, po tym jak kupili Jojkę, który załatwił mecz słynną bramką samobójczą. Warzucha powiedział: "Panie kierowniku, jak wejdziemy, to sam się do pana zgłoszę". Początkowo Warzucha mówił o studiach w Warszawie, ale przekazałem mu, że wszystko sprawdziłem. Zaproponowałem Lasocie, żeby go zostawić w Chorzowie, tylko on się bał, co powiemy naszym generałom. - Powiedzmy, że studiuje - odparłem. Warzucha został w Ruchu, a jak szedł do Panathinaikosu, pytał, czy go ściągniemy. Uznałem, że szkoda chłopaka, żeby go ściągać na Łazienkowską. Nie pasował do Legii.

Marek Leśniak już był jedną nogą w Legii, tylko mnie oszukał i uciekł do Niemiec. Na wszystko się zgadzał, podał wszystkie dane. Byłem pewien, że załatwiony. I pytają mnie jednego dnia: Panie Kazimierzu, jak pan tego Leśniaka załatwiał, skoro on do Niemiec jedzie?

Araszkiewicz z Lecha też nie było łatwo wyciągnąć. W końcu wyszło tak, że w Poznaniu nie miał pewnego miejsca i zgodził się na przenosiny. Miał niesamowitą szybkość. W drugiej połowie wszedł na meczu z Videotonem i strzelił bardzo ważną bramkę.

Mam też 200 procent przy transferze Koseckiego. Jego nikt nie chciał w Legii. Staszek Machowski, lekarz Legii nie chciał go, twierdząc że ma kontuzję kręgosłupa. I on tę kontuzję miał. Pojechaliliśmy do Ursusa, bo przy okazji Jurek Engel miał do obejrzenia stopera RKS-u. A tam jedynym grającym porządnie przez cały mecz był Kosecki. Zacząłem potem walczyć o niego. Gwardia była wtedy cwana, wiedziała że skoro chce go Legia, to oni zarobią na Koseckim i ściągnęli go z Ursusa. "Kosa" tym co robił na boisku idealnie pasował do GKS-u Katowice, bo oni wtedy grali z kontry i rzucali długą piłkę do przodu. Już byłem blisko, żeby Koseckiego załatwić - on już wtedy był powoływany do reprezentacji, ale nikt w klubie nie chciał o tym słyszeć. Poszedłem do Barańskiego podczas jednego z meczów, a generał odpowiedział, że Kosecki ma kontuzję kręgosłupa. No to pytam, jak to możliwe, że grał w reprezentacji Polski juniorów, młodzieżowce, jest powoływany do pierwszej reprezentacji i nikt nie mówi o żadnej kontuzji. Generał dał zielone światło,

żeby go wziąć. Załatwiłem już prawie wszystko, ale pojawił się problem - Dziurowicz wypłacił Koseckiemu pieniądze. Co prawda nieduże, ale w dolarach. Wtedy za to mogła być kara. Było też spotkanie, w którym udział wzięli Andrzej Strejlau, Paweł Janas, pułkownik Żbikowski i ja. Zostałem na nim poinformowany przez Żbikowskiego, że od dzisiaj sprawą Koseckiego zajmie się magister Janas. Podkreślił słowo magister. Powiedziałem: Ok., jeśli magister Janas podejdzie do sprawy poważnie, to nie ma problemu.

Później na meczu Legii z GKS-em mieli pojawić się Dziurowicz i Kosecki. Wziąłem Janasa i poszliśmy do łoży, a Koseckiego tam nie ma. Pytam Janasa o co chodzi, a on mówi: "Spóźniłem się". I czułem wtedy, że coś jest "szyte", nie chcą Koseckiego w Legii. W poniedziałek było spotkanie trzech osób, beze mnie. Zapukałem, wszedłem i pytam, jak się ma sprawa Koseckiego, bo dzwoniłem do niego, że już jest dogadany z GKS-em Katowice. Zapytałem wtedy pułkownika jak kierowca z kierowcą: "Panie pułkowniku, czy pan wyczuwa, że ci ludzie pana w ch... robią?". Strejlau był niby wielce obrażony. Zwrócono wtedy sprawę Koseckiego mnie. Pojechałem do Konstancina i zapytałem Kosę wprost: "Chcesz iść do Katowic?". - Nie, chciałbym grać w Legii - odpowiedział.

Kosecki wtedy chciał zacząć wymieniać, co on chce za przejście do Legii. Poinformowałem go, że ze mną o pieniądzach rozmawiać nie będzie, takie kwestie może dogadywać z zarządem. - Ale zarząd nie chce ze mną rozmawiać - powiedział "Kosa". Powiedziałem, żeby spróbował jeszcze raz. GKS napisał wtedy pismo do PZPN-u, a Dziurowicz jeszcze prezesem Polskiego Związku nie był, w sprawie pieniędzy, że mu je wypłacili. Sam napisałem w imieniu Koseckiego pismo z przeprosinami - tak, żeby nie urazić górniczego stanu, bo to byłby wtedy koniec świata, z informacją, że zwróci wszystkie pieniądze, które wziął z katowickiego klubu, ale on zawsze marzył o grze w Legii.

Miałem na celowniku takich ludzi jak Matysek, Prusik czy Tarasiewicz. Matyska wypatrzyłem na meczu młodzieżówki z Rumunią w Wyszku. Bardzo mi się spodobał, a my nie mieliśmy akurat dobrego drugiego bramkarza. Tyle, że on był w Śląsku Wrocław i podlegał pod tego samego prezesa, który był u nas. Rozmawiałem też ze Skrzypczakiem z Lecha, ale on mnie trochę wypuścił, bo tak naprawdę tylko chciał polepszyć swoją pozycję. Dzięki temu dostał podwyżkę w Poznaniu. Później z nim rozmawiałem i mówił, że gdyby jej nie dostał, na pewno by przyszedł do Legii. Przecież nie po to specjalnie przyjeżdżał do Warszawy na rozmowy ze mną. Była szansa na pozyskanie Andrzeja Rudego. Był już na trybunach naszego stadionu wraz ze swoją dziewczyną i rozmawiał z Olszakiem. Był już jedną nogą w Legii, ale w ostatniej chwili dostał odgórny zakaz i musiał zostać w Śląsku.

A jak było z transferem Koseckiego do Galatasaray? Podawane oficjalne kwoty bardzo się od siebie różnią i wiadomo, że był tam jakiś szwindel i ktoś wziął kasę do kieszeni pod stołem.

- Po meczach z Barceloną pojawiło się zainteresowanie Koseckim. To był taki niespokojny duch, z którym nigdy nie było wiadomo, czy odejdzie, czy nie. Nie brałem udziału w tym transferze, jego załatwianiu i finalizacji. Mogę tylko powiedzieć, że dwóch ludzi, którzy się tym zajmowali, postawili sobie domy. Z wojskowych pensji. Resztę można sobie dopowiedzieć.

Kiedyś doszły mnie słuchy, chyba jako pierwszy powiedział mi to Strejlau, że ponoć ja za zawodników których załatwiam do klubu, i za tych którzy odchodzą, biorę pieniądze. Nie do końca wierzyłem, pomyślałem, że zwyczajnie Andrzej dużo mówi. Ale to samo powtórzył mi Rudolf Kapera i że te informacje wychodzą od Żbikowskiego. No i była niedługo później jakaś narada z kierownictwem klubu i wszystkimi zawodnikami. Już chciano kończyć, ale zadano pytanie, czy ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia. Zgłosiłem się. Powiedziałem, że słyszałem takie plotki, że dostaję pieniądze za transfery piłkarzy i proszę, żeby zgłosiła się osoba, od której wziąłem choćby złotówkę. Wtedy wstał Kubicki i zaczął mówić: "Co pan, panie kierowniku, znamy pana nie od dzisiaj. Nikt nie może gadać takich głupot". Skończyło się konfrontacją. Powiedziałem, że osoba, która to rozpowiada jest wśród nas. Żbikowski, udając głupiego zapytał - kto? Odpowiedziałem bez chwili zastanowienia: Pan i mam na to świadków. Siedzący obok Rudolf Kapera potwierdził. Wiedziałem wtedy, że mój koniec w Legii jest coraz bliżej...

Rozmawiał Bodziach